

DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— Poznań, 1 grudnia 1888 r. —

Nr. 34.

Prenumerata roczna wynosi 3 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedplacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedplaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycji, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycji, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycja, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

Los ulitował się nad nią.

NOVELKA

z pism pośmiertnych

Pauliny z L. Wilkońskiej.

(Dokończenie).

— Wielmożny Panie — stary sołtys pokłonił się, a potem, aż niby dumnie stanął — toćże my tych pieniędzy przyjąć nie możemy.

— Dla czego? krzyknął dziedzic i podskoczył ze złości.

— Bo na nich jest krew ludzka — głucho odrzekł starzec.

A ławnik dodał przyciszonym głosem, nisko opuszczając głowę:

— I przyniosłyby nam tylko niebłogosławieństwo Boże.

Pan Jakób stanął, jakby zkamieniały. Chłopi pokłonili się i z cicha wyszli. Posiniał, zgrzytnął zębami, a potem chciał się rzucić za nimi.

Frania porwała się, jakby cień przemknęła, a gdy do swojego weszła pokoju, rzuciła się na krzesło i głośnym, konwulsyjnym wybuchnęła płaczem.

Po chwili, okryta chustką, wyszła pomiędzy gumna; chciała rozmówić się ze starym karbowym. Dojrzała go przed stodołą i od razu przystąpiła do niego.

— Mój Jędrzeju! zaczęła — mój dobry Jędrzeju! — tehu jej nie stało — Coś okropnego, coś strasznego się stało! — Złożyła dłonie i przycisnęła je do piersi.

— A jużci, a jużci! westchnął stary.

— Odbyto polowanie na człowieka! wyrzuciła z boleścią.

— Ha! iście polowanie, wielmożna panienko... Dziedzic nakazał i musieliśma słuchoać... I ten pasibrzech w zielonym mundurze. W lesie już byli żandarmi, Kozaki, i odartusy łapacze...

— Tyłu na jednego człowieka! Franciszka załamała ręce.

— Tyle psów, wielmożna panienko — poszepnął stary.

— A zapowiedział nam dziedzic i ten łyktus zielony, że mamy pochwyć zdrającę, misarusza, co godzi na życie cesarza, że buntownicy chcą Moskali z Polski wypędzić, aby szlachta mogła znowu biednego mitrzyć chłopą i zaprowadzić poddaństwo...

— Kłamstwo! ohydne kłamstwo! wrzasnęła dziewica-Polka ze ściśnionej piersi, oczy jej sypnęły iskrami i uniosła rękę ku niebu, jak gdyby zawołać chciała: Czy słyszysz, Boże wielki, jak Twój lud spotwarzają! — to wam wuj mój mówił? zapytała pobladła ze zgrozy.

— Mówił to ten, oj, radzca piekielny, a dziedzic stał przy nim, ale nic nie rzekł.

— Boże! Więc przynajmniej nie bluźnił!... Przecież wy nie wierzycie tym moskiewskim potwarcom! — złożyła błagalnie dłonie.

— Ej, wiemyć to przecie — spokojnie odrzekł karbowy, potrząsając głową — że to wszystko obałamucenie tylko, wszeteczność...

— Bóg wielki świadkiem!

— No, ale cóżemy i począć mieli z tą całą psią wiarą? Potrzeba było pójść, chociaż dusza w człowieku truchlała... Zapuscili, oj, zaraz psy gończe, a nas za psami. I ot! leżał w gęstej krzewinie biedaczysko snem ciężkim zmorzony. Pochyliłem się i w duchu znak krzyża św. zrobiłem nad nim. Koszulę miał cienką, pod którą widać było mentalik z Matką Boską... Chłopiec się przeżegnał i lżę otarł z oczu. Miał sukienne ubranie, w kilku miejscach rozdarte, bóty niby łapcie tylko, a nogi skrwawione. Z twarzy głód patrzył. A śliczny to był panicz!... Rzucili się ku niemu, gdyby kruki na ścierwo, Boże, odpuść! A ten bezbożny łyktus huknął mu nad uchem, że i na równe zerwał się nogi... Opamiętał się też zaraz i jednym susem w gęstwinę wskoczył...

— Jezus! — dziewczyna złożyła dłonie — uciek!

— Ale, mój Boże! Obskoczyli go zaraz Kozunie, rozstawieni na czatach. Na rozkaz kapitana związali biedaka i zakuli w kajdany, że aż posiniały mu ręce... Zbladł tylko, gdyby trup i zaciął zęby. Ale ani syknął. Uprawdzili go, włożyli na wóz i hajdy, polecili z nim oprawcy! Frania zalewała się łzami.

— Mój Boże! mój Boże! — załamała ręce. — I chcieli

wam rublami sumienie zapłacić, lecz nie przyjęliście grzesznego pieniądza...

— Ani jednusiennik wziąć nie chciał! Boże, ucho-
waj!... I odpuść nam, Panie! — uderzył się w piersi.

— A powiedzieli wam, jak się nazywa ten nieszczę-
śliwy?

— A jakże. Ten zielony oprawca przeczytał nam
z gubernii pisanie: nazwa się Bolesław Dobrowski, a ro-
dził się pod Krakowem. Mieli go zaraz do Warszawy
odstawić.

— Mój dobry, mój poczciwy Jędrzeju! położyła mu
na ramionach dłoń — Bóg wam przebaczy, bo przemoc
była nad wami!... Módlcie się za niego, biedaka! I za
naszą Polskę nieszczęśliwą, ciemną, szarpaną!

— Och! panienko!... A ktożby się nie modlił...
— Stary lzy otarł rękawem.

— I nie wiercie, co wam te złe duchy gadają, że to
panowie, że szlachta waszej chce krzywdy. Zawiercie
raczej w imię Boga i Matki przenaświętszej częstocho-
wskiej, że szlachta dobra waszego pragnie, że panowie
braterstwa waszego żądni, miłości Boga i ojczyzny!

— Panienko! mamy przecie i dobrych panów...

— Wuj obalamucili, złudzili... że i nie wie, co czy-
ni... Ale wszakże więcej takich nie ma panów?

— Nie ma, panienko, nie ma, Bóg widzi! znamy to
przecie.

— Wuj błdzi, grzeszy ciężko... ciężko, oj! ciężko,
jękło w piersi dziewczęcia — ale przyjdzie chwila opamię-
tania!... Nie idźcie w jego ślady — poszepnęła drżącymi
ustami, głosem złamanym — a litujcie się nad nim, jako
nad obłądnionym winowajcą!.. Bóg niechaj opiekuje się
wami! Bóg dobry niech z wami będzie! — zrobiła znak
krzyża św., zawróciła i szybko do dworu pobiegła.

— Starzec popatrzył za nią. Westchnął i znowu łzę
otarł z powieki. A potem się przeżegnał i cichą zmówił
modlitwę.

Franciszka pozostała przez resztę dnia w pokoju swo-
im, jako chora, i już brata matki nie widziała.

IV.

Zaranie jeszcze było szarawe. Fornale tylko co po-
wyjeżdżali. Stary karbowy chód ociężały pokierował za
nimi. Wkoło dworu zupełna trwała cisza.

Jedna tylko została już Frania. Krzątała się po
swoim pokoiku — blejsza jeszcze, jak zwykle, usiadła przy
stoliku i list napisała następujący:

„Po tem, co zaszło przedwczoraj, po upolowaniu nie-
szczęśliwego Bolesława Dabrowskiego, i chwili jednej dłu-
żej tutaj pozostać nie mogę. A sędzę, wierzę, że ojciec
i matka nie błogosławiliby mi z nieba. Dusza moja na
zawsze rozkrwawioną została. Uchodzę — Bóg mnie nie
opuści.

Życzę uznania i opamiętania, jako najwyższej łaski
Bożej. — Och! zmiłuj się, Panie.

F r a n c i s z k a .“

List zapieczętowała. Położyła napis: „Do Wielmo-
żnego Jakóba Gawrzyńskiego w Żurowie.“ i do torebki
schowała, bo chciała go dopiero z Warszawy wyprawić,
aby uniknąć pogoni.

Włożyła kapelus z słomkowy, gęstą, czarną zapuszcza-
jąc zasłonę. Wzięła pod pachę tłumoczek z rzeczami
i okryła się płaszczykiem. Suchem okiem swój pokoik
zmierzyła, bo nie miała za czem płakać. Przeżegnała się
i wyszła.

Przebiegła dziedziniec. Podwórzowy kundel przysko-
czył i łasić się począł. Poglaskała go i ła w jej zakręciła
się oku Ugryz odprowadził ją poza bramę, przez wieś,
do Bożej męki. Tutaj odpędziła go nakoniec, nie bez żalu,
poglaskawszy go raz jeszcze. Zwiesiwszy ogon, zwolna
ku dworowi powracał, jak gdyby ją był zrozumiał. Obej-
rzał się jeszcze za nią i ona za nim, a potem szybko szła
dalej.

Znała drogę do miasteczka, a leżało tylko o pół mili
od Żurowa. Podążała, aby uprzedzić dyliżans do Warszawy,
i wielce znuzona w pocztowym stanęła domu. Poczekala
tylko kwadrans jeszcze i powóz pocztowy nadjechał.
Towarzyszami jej podróży byli: jakiś stary obywatel - sza-
raczek i dwóch żydków. Nikt na nią uwagi nie zwrócił
i niczyjej nie zbudziła ciekawości, co ją wielce zaspokoilo.

Podróż odbyła bez wypadku wszelkiego i bez prze-
szkody mogła otaczać się marzeniem, pokrzepiającem jej
ducha. Układała sobie, jak to z Warszawy dalszą do
Grodna odbędzie drogę, jak zajędzie do jednej z sąsiadek
ukochanej babki, jak będzie szukała zajęcia i pracy, która
ją utrzymać zdola, gdyby jej pan Jakób i schedy po
matce wypłacić nie chciał. Pragnieniem duszy już na-
przód ukochaną witała Litwę... że aż serce podskoczyło
z radości. Potem — ach! potem — dalej, a dalej słone-
czny uzupełniła obraz: duszą pogoniła na zachód i witała
Konrada!... Pierwszym promykiem miała być od niego
wiadomość — może list — głosek kilka!... Uśmiechnęły
się usta, a łezka na ciemnej połysnęła źrenicy. Co i jak
nastąpić miało wszystko? Tego już myśl podać nie umiała
i z modlitwą a wiarą na zrządzenie Opatrzności się zdała.
Czuła się, jakoby wyzwoloną z pod jarzma i przędła nie
złotą nadziei!

Przybywszy do Warszawy, kazała rzeczy ponieść za
sobą do „Hotelu saskiego,“ bo innego nie znała. Było
już blisko południa. Dnia tego samego miała w dalszą
puścić się podróż. W Warszawie chciała jeszcze pare
maleńkich załatwić sprawunków — i wyszła.

Kupiła cukierków u Lursa dla córeczki swej sąsiadki,
do której zajechać chciała. Potem udała się na Krako-
wskie przedmieście, aby sobie kupić bóbki. Weszła do
jednego z pierwszorzędných szewców. Usłużna pani maj-
strowa podawała jej do przymierzania jedną parę po dru-
giej. Majster jakieś świeżo nadeszłe rozkładał zasoby.
Wtem wszedł mężczyzna lat średnich, spoglądający ponuro
i smutno.

— Dzień dobry, wymówił.

— Dzień dobry, panie Wojciechu! odrzekło małżeństwo.

— Niedobry raczej dzień, oj, niedobry! westchnął pan
Wojciech i głową pokręcił. Załosny dzień, mój Jezu kochany!
i usiadł na podanem mu krześle.

— Czy już po ekucyi? zapytał majster.

Frانيا zadręgnęła.

— A?, już — odpowiedział tamten gładko.

— Rozstrzelali?

— O!!

Poczciwa majstrowa płaczem wybuchnęła. Frانيا ru-
szyc się nie mogła z miejsca.

— To i po coż tu przychodził?

— Wysłali znać... A miał podobno przedrzeć się na
Litwę. Bóg wie, w jakim zamiarze.

— A był z wojska moskiewskiego?

— Podobno dezserter.

— Bolesław Dobrowski... .

Franciszka zdrętwiała — oddech zamarł jej w piersi;
to był ten sam, na którego Jakób Gawrzyński z siepacza-
mi polował!

— Ale, ba, Dobrowski! potrząśł pan Wojciech gło-
wą — to tylko było przybrane nazwisko, a i zaraz wy-
macali prawdziwe. Głoszą je gazety dzisiaj. Nazywał
się Konrad Wolnicz... .

Krzyk okropny, z jakim, zdaje się, że życie ulecieć
powinno, rozległ się nagle, i Franciszka, jak kwiat pod-
cięty, na ziemię upadła. Podniosła ją przerażona majstro-
wa. Majster po wodę poskoczył

— To trup! istny trup! wołała ze łzami poczciwa
kobieta.

Pan Wojciech pobiegł po doktora.

Przyjaciel ludzkości, zacny doktor X, którego powóz
na ulicy dostrzegł, nadszedł w jednej chwili.

Frانيا w skutek użytych środków lekarskich powró-
ciła do życia. Otworzyła oczy, potoczyła dziwnym wzro-

kiem dokoła i zaśpiewała... Zaśpiewała przyciszonym, słodkim, dźwięcznym głosem jakąś litewską piosenkę. Doktor głową pokręcił i poszeptał:

— Nagle a gwałtowne pomieszenie zmysłów... Czy państwo ją znacie? zapytał majstrowej.

— Pierwszy raz w życiu ją widzimy, odrzekła. Frania uśmiechnęła się i zanuciła:

„Komuż ślubny splatasz wianek,
Z róż, lilii i tymianka“...

Majstrowa płakała. Doktor zaszepiony trzymał rękę biednego dziewczęcia.

— Nie ma rady, wyrzekł, zawiozę ją do „Dzieciątka Jezus.“

I zawioził. W torebce jej znaleziono list do p. Jakóba Gawrzyńskiego — i wykryło się wszystko.

Napisali po niego, jako po jedyne go krewnego młodej obłąkanej, o którym z tegoż listu wiedzieli.

Przybył na wezwanie i odjechał znowu. A czy wyrzutami dotknięty sumienia? Wierzajmy, że tak było!

Biedna Frania już więcej zmysłów nie odzyskała. Nuciła litewskie piosenki, mówiła o Litwie, o babce, o Konradzie. A po dwóch latach nieprzytomnego życia — zasnęła. Los ulitował się nad nią!

KONIEC.



ŚNIEG NA KWIĄTKACH

p. H. Grabowską.

(Tłumaczyła Zofia A.)

Jakże to widok bolesny te śniegu płatki w dzień pogodny, majowy! Tak szybko spadają na piękną zielenią wiosenną, tak się spieszą, kręcą, wiją, z taką swobodą igrają ponad świeżą trawką, jakby wesołą pustotą miały na celu! — a jakąż śmiertelną pieczęcią muskają ziemię, już pulsującą nowym życiem, ogrzaną ciepłem tchnieniem wiosny — te płatki mgławce, tak nikłe, a tak mordercze, tak niebezpieczne dla młodych roślin i pączków, które uśmiech majowego słońca powołał do siebie...

W salonie, przy oknie dużym, wychodzącym na ogród, stoi Magdalena w ślubnej szacie i w wieńcu mirtowym na skroniach; wybrane grono nielicznych weselników, rozmawiając, przechodzi się w grupach po sali, z niecierpliwością oczekując na powozy, mające ich zawieźć do kościoła. Pomiędzy zebranymi gośćmi młodzieniec, bliski krewny domu, z szczególną bacznością przypatruje się ślicznej pannie młodej. Przybył on dziś umyślnie na tę uroczystość familijną, wyrwywając się na dni parę od nauk uniwersyteckich. Uważał i dostrzegł, że te oczy szare, tak spokojne zawsze, dziś patrzyły martwo i szklano przed siebie na te harec śniegowe, wstrzymując ciszące się łzy do nich przemocą, łzy, które, wstrzymywane siłą woli, tak boleśnie palą źrenice. Widok ten przestraszył go i zdziwił немало; znał kuzynkę swoją tak dawno, i podobnie, jak ogół, za zbyt sentymentalną jej nie miał. Jej spokój i powaga nieraz w rodzinie młodszemu światkowi żeńskiemu za przykład stawiane bywały; Magdalena wiedziała zawsze z całą przystojnością, co wypadało i co można było uczynić. To też przy wyborze towarzysza na długą i trudną wędrówkę życia, kierując się rozsądkiem, podała rękę starszemu i dobrze postawionemu w świecie człowie-

kowi, przy którego boku we wszelkich burzach znajdzie przystań bezpieczną i pewną.

Magdalena nie znała marzeń, śmieszna tęschnota miłości nie oswadła jej nigdy tak, jak inne jej rówieczniczki, z żądnymi też marzeniami nie wchodziła zapewne na tę nową żywota drogę — małżeństwa, które bywa zwykle u sentymentalnych panierek zwycięstwem piękności i tryumfem miłości nad prozą życia!

— A jednakże?... Młody chłopiec pochylił się nad drogą mu kuzynką — spojrzał jej w oczy... ze współczuciem! Pod tem ciepłym i serdecznym spojrzeniem stopniała martwość jej oka, brylantowe krople gorących łez trysnęły z pod gęstych rzęs, padając na wiązanek mirtową u piersi.

— Czy te łzy wywołuje rzewna chwila obecna? — czy też obawa mglistej przyszłości? — O! nie, nie, te łzy wyciska jakieś wspomnienie dalekie, pomyślał Henryk i wypowiedział myśl swą szeptem do uszka panny młodej. — Magdalena spojrzała na niego.

— Ach! Henryku mój, może i słuszna twoja uwaga, myślałam rzeczywiście, patrząc w tej chwili na ten śnieg pruszący, o wiosnie, w której śnieg także wszystkie pączki zmroził — o wiosnie życia mego! Młode gałązki na dworze zazielenią się znowu, ale człowiek jeden tylko maj święci w życiu... Co tam mróz raz zwarzy, nie zakwitnie już po raz drugi, nie ujrzy lata, ani zasnę szczęśliwych chwil jesieni ten, którego wiosna lodowatą śmierć poniosła. Najsmutniejszą zaś prawdą jest to, Henryku, że w tym czasie rozkwitu i niedoświadczenia największe skarby uczuć, całe bogactwo miłości rzucamy najczęściej istocie nędznej, niegodnej, która, nie umiając w swej próżnej piersi odczuć i ocenić tych skarbow, pobawi się niemi znikomą chwilę i... lekkomyślnie odsunie od siebie. A kiedy spotkamy na torze życiowym istotę, która warta tych wszystkich bogactw serca kobiety, wtenczas stawamy wobec niej biedne, z próżnemi tylko rękoma. O! Henryku, gdyby każdy z was, patrząc na takie przebudzenie wiosnianego serca młodej, czystej duszy dziewiczej wiedział i zastanowił się, jaki wpływ ten rozkwit wywiera na całe życie, jak daleko sięga w przyszłość kobiecy, nie igrałby z tą chwilą tak lekkomyślnie. Patrz na te całuny białe, jakim ciężarem gniją te młodziutkie pączki!... ileż to kobiet uchodzi wobec świata za zimne, bezuczuciowe, bo nikt nie wie, że te łany duszy zielone wieczną przykryte zimą, i nic na nich świeżego nie wyrośnie, ani dojrzeje.

Henryk westchnął głęboko, ujął rękę Magdaleny i czule ją uściśnął; nie mógł w tej chwili odpowiedzieć jej słowem, bo w jego myśli przemknęła postać wiotka, swobodna, z oczkami śmiejącymi się zawsze; obraz ślicznej Mici, córki profesora uniwersytetu, z którą czasami grywał na cztery ręce, nucił smutne piosenki, znosił najnowszych oper arye, podkreślając czerwonym ołówkiem zwrotki, lub wyrazy, mówiące za niego. Gorzkim wyrzutem stanęły mu te chwile przed oczyma, czyż i on miałby tej młodej istocie życie spustoszyć? Nie, nie, z jego przyczyny żadna śnieżka młodych pączków wiosnianego jej serduszka nie zmrozi, to sobie w tej chwili przysięga święcie...

Drzwi otworzono szeroko, wpuszczając jeszcze kilku zapóźnionych gości. Magdalena zbladła nagle, mirtowy bukiet podniósł się szybko na piersi, miotanej jakimś wewnętrznym uczuciem. Henryk widział to wszystko; wiedział, co prawda, że Magdalena wychowywała się w domu rodziców młodego człowieka, który wszedł właśnie do sali; wiedział też, że ów piękny, pełen życia i rozumu młodzian wysokie zajmuje stanowisko w świecie dyplomatycznym — ale nie znał, jaką niegodną komedią odegrał w życiu Magdaleny. Dziwnym jednakże instynktem począł odgadywać, widząc, jak elegancki światowiec na widok tej białej, jasnym welonem otulonej postaci zachwiał się, jak wzrok jego niepewny ślizgał się z przedmiotu na przedmiot, jakby ta olśniewająca białość raziła jego oko.

— Masz śnieg w dzień ślubu, Magdaleno, zawołał, chcąc zręcznym zwrotem skrócić niemłą chwilę, czyż nie

ma na to jakiej przepowiedni, z której szczęśliwą wróżbę młodej parze możnaby wysnuć na przyszłość?

— Że śnieg zasypał kwiaty majowe — oto jedyna możliwa alegorya — odpowiedział Henryk spiesznie i z przyciskiem za kuzynkę, a głos jego brzmiał ostro, prawie szorstko.

— A czemużby nie inna, odezwał się cicho pan młody, przysuwając się do Magdaleny — śnieg, ten symbol starości przy świeżej zieleni, niech nam wróży wieczną młodość uczuć, uważajmy to za wróżbę długiego i szczęśliwego życia.

Serdecznie uściśnęła dłoń narzeczonego, który w tej chwili cały świat wdzięczności, zaufania i wiary mógł dojrzeć w jej czystym spojrzeniu.

— Masz pan słusność — odrzekła — uważać więc będę ten śnieg za dobrą wróżbę przyszłości.

Powozy zajechały, wszystko się poruszyło z miejsc, wychodząc przed dom, i Henryk wyszedł, a stanawszy na boku, patrzył się jeszcze na te tańczące ciągle w powietrzu białe płateczki, podczas gdy ostry wiatr chłodził mu przyjemnie rozpalone skronie.

— Biedna Magdalena! powtarzał po cichu, czyżby ją smutne życie tylko cichej ofiary czekać miało, może serce jej pod ręką troskliwego ogrodnika zakwitnie raz jeszcze barwnym kwieciami, choćby to już i nie były kwiaty wiosenne!... niechby doznała szczęścia, na jakie zasługuje! O! gdyby dziś ze mną razem wszyscy młodzi byli usłyszeli tę naukę, jakżeby ostrożniej szli przez życie, nie burząc świętokradzką ręką tych pędów delikatnych, które pierwszy promień słońca do życia powołał, a jeden taki śron zawodu zniszczył i zmroził na zawsze.

PIOSNKA.

(Z Wiktora Hugo tłumaczył Karol Brzozowski.)

I pociż mi słuchać
Ptaszyny wśród drzewa?...
Najczulsza ptaszyna
Mnie w głosie twym śpiewa.

Niech gwiazdy niebieskie
Bóg gasi i nieci,
Mnie gwiazda najczystsza
W żrenicy twej świeci.

I coż mi ta niwa
W maj kwieciami pokryta!...
Mnie kwiat najwonnieszy
W twej duszy wykwiata.

Tę ptaszkę płomienną,
Tę gwiazdę codzienną
I Boskie to kwiecie
Miłością zowiecie.

Z UOKŁANDA.

(Tłom. K. Brzozowski.)

Jeśli kwiatek, gałązka wyraz jakiś znaczy,
Jeśli róża miłości pali się płomieniem,
Niezapominka własnem przemawia imieniem,
Wawrzyn chwałę, a cyprys żalobę tłumaczy:

I jeśli innych kwiatów nieznanie są dzieje,
To barwa ich z głębokiem znaczeniem związana;
Jeśli pycha i zazdrość w żółtej barwie złana,
A nadzieja w zielonych gałązkach się śmieje;

O! to słusnie w swym sadzie dla ciebie narwałem
Kwiatów barw wszystkich, wszystkich drzew gałęzi,
I w jednej dzikiej wieńca noszę ci zawięzi;

Bo tobie rozkosz moja, nadzieja z zapałem,
Miłość ma, wierność, zazdrość, sława i ból łona,
Tobie i życie moje i śmierć poświęcona..

KORRESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.”

Zpoza kordonu.

Życie społeczne idzie jakoś leniwym krokiem, wszyscy kronikarze zapewne muszą smarzyć sobie głowy nad treścią swych felietonów, jak gdyby czas ogórkowy trwał jeszcze. Tymczasem mróz już nas nawiedził i niemało szkody wyrządził w polach. W wielu miejscach kartofle zamarzyły, a buraki i marchew pastewna prawie wszędzie. Rok z trzema osemkami gorszym był od swego poprzednika z dwiema siodemkami. Po zimie przykrej dał wiosnę smutną, lato jeszcze gorsze, a jesień najgorszą; nawet babiego lata nie mieliśmy wcale. Siewy odbywały się w najgorszych warunkach, bo ziarno szło w błoto i późno w dodatku, w wielu miejscach łubiny nie dojrzały, a na dobitkę wszystkiego ceny nie idą w górę odpowiednio. Daremnie rolnicy wyczekują podwyżki, daremnie się łudzą, że ta przyjsć musi — nadzieje nie spełniają się bynajmniej.

Gazety rosyjskie twierdzą, że dzieje się to z woli p. p. Bismarcka i Bleirödera, którzy każą tańczyć rublowi, jak sami zagrają. Dziwne też skoki i podrygi wyprawia ten biedny rubel rosyjski. Każda gazeta odmienną podaje fluktuacją, może to do rozpaczki przyprowadzać pana Wiszniogradzkiego, (ministra finansów,) którego wszystkie wysiłki nie zdołały o jedną kopiejkę podnieść kursu pieniędzy w swoim właściwym czasie, a teraz wyprawiają one harce najdziwaczniejsze w takt obcej komendy.

„Nowoje Wremia“ zmieniło nagle front wobec papieża; wyraża się z wielkiem uznaniem o potędze naczelnika katolicyzmu, i wypowiada potrzebę starania się o względy Leona XIII:

„Nie chodzi o to, abyśmy poświęcali Polskę dla tych względów, ale winniśmy oiazać go uszanowaniem, ując go sobie przyznaniem praw jego do wydartych posiadłości, bo może on stać się jedynym naszym sprzymierzeńcem na półwyspie apenińskim.“

Zaprawdę — Leon XIII w trudniejszych znajduje się warunkach, niż jego poprzednik; na tamtego bowiem uderzano otwarcie i chciano przemocą zmusić do ustępstw, a

tego polityka pragnie uchwycić w sidła pochlebstw i obietnic. Ież tu potrzeba ostrożności i baczności! Oby Leon XIII pamiętał, że aureola potęgi moralnej, jaka dziś otacza tron jego, więcej stokrotnie znaczy, niż ów kawałek kraju wydartego!! Pan Izwolski w Rzymie siedzi i nie będzie próżnował zapewne. Zmianę tę w polityce wywołała podróż cesarza Wilhelma do Włoch. Z kwestyi papieżycy uczyli Europa takiego straszka na Włochów, jakiego uczyli z kwestyi polskiej dla Rosyi, a którym Anglia tak się często z naszą szkodą posługiwała.

Dawno nie dawałam sprawy z płodów niwy literackiej; nowości posypią się zapewne dopiero około Nowego-roku, na długie wieczory zimowe. Odznaczona na konkursie literackim w „Kuryerze warszawskim“ i tamże drukowana powieść panny *Rodziewiczówny*, p. n. „Dewajtis“, zasługuje rzeczywiście na odznaczenie z powodu dążności dla nas nader ważnej. Autorka pragnie obudzić w czytelnikach miłość dla wiary i dla ziemi. Jej bohater, Marek Czertwan, porównany jest z bohaterem Wajdewutasem, zabijającym smoki, a jej dąb kilkowiekowy, Dewajtis, niegdyś przez pogan czczony, jako święty — uczy, że idea zdolna jest utrzymać na miejscu pierwotne drzewa i ludzi. Idea świętości ochroniła dąb przez wieki od zagłady, i tylko idea miłości utrzyma ludy na ziemi, od wicków przez nich zamieszkałej. Rzecz dzieje na Żmudzi świętej, gdzie łatwiej o ludzi prostych umysłem, o dyamentowej twardości i czystości charakteru, niż pomiędzy nami — koroniarzami — jak tam nas nazywają.

Marek Czertwan, z innej matki zrodzony, sam jeden z całej rodziny zdołał odczuć i zrozumieć miłość ojca dla ziemi; macocha i młodszy brat sądzą, że na to tylko ojciec zostawił im majątek, zdobyty ciężką i mozolną pracą, aby oni używali; trwonią więc grosz bezmyślnie, a Marek odkupuje ich działy, za co go ogłaszają wyzyskiwaczem i zwołują sąd honorowy. Sproszeni sąsiedzi zrozumieli przecie łatwo namiętną miłość Żmudzina do matki-ziemi, i otoczyli go szacunkiem, a piękną i bogata panna narzuciła mu się sama z miłością swoją.

Powieść ta dowodzi, że autorka ma talent znamienity, tylko zbyt wiele nagromadziła efektów, zakrawających na bajkę, czem przypomina czasem węgierskiego Jokaja. Treść oparta jest na fałszywej podstawie, pozwalającej zrzucić całą budowę kompozycji w ruinę. Stary Czertwan, ojciec Marka, był na wojnie jakiejś z przyjacielem i sąsiadem swoim, Orwidem. Orwid, zmuszony opuścić kraj, powierzył swe mienie przyjacielowi i nie zgłosił się ani razu, choć zarząd wielkiego majątku ciążył Czertwanowi, jak kula u nogi, a Orwid pracował w Ameryce, jak prosty robotnik. Cała historia jest nieprawdopodobną. Czytelnik mimowoli zapytuje, dla czego Orwid nie pisał do przyjaciela z żądaniem przesłki pieniężnej, dla czego znosił nędzę i zostawił dziecko na łasce obcych ludzi, gdy tego czynić nie potrzebował. Cała więc przygoda powyższa nie ma racyi bytu i szkodzi bardzo powieści. Są to jednak wady techniki pisarskiej, których w przyszłości łatwo przyjdzie unikać przy talencie niezaprzeczonem. Charakter Czertwana jest prawdziwy i piękny, inne postacie zarysowane w sylwetkach zręcznych, a największa chwała należy się autorce za jej tendencją dla nas tak ważną w obecnej epoce. Minęły czasy bojów za wolność, ale nastały czasy walki i boju o świętą ziemię rodzinną!... a bohaterów, walczących mężnie z trudnościami ekonomicznymi, można porównać z Wajdewutasem, zabijającym smoki!

„Gazeta warszawska“ wydrukowała bardzo piękną powieść historyczną p. n. „Olbrachtowi rycerze“, napisaną przez Zygmunta Kaczkowskiego. Można ją śmiało nazwać najlepszym dziełem tego pisarza. Oparta na starannych studyach kronikarskich, powieść przenosi nas w średnie wieki z realizmem dalekim od naturalizmu, owianym technieniem poezyi. Obrazom nie braknie ani plastyki, ani dramatyczności. Utwór ten można postawić w jednym rzędzie z utworami Sienkiewicza, choć wybór epoki

więcej oddalonej wymagał większej pracy źródłowej i większego natężenia wyobraźni. Treści niepodobna powtórzyć; wikła się tam tyle intryg, występuje tylu bohaterów, iż nie wiedzieć, któremu dać pierwszeństwo. Wilczek na wstępie traci sympatyą czytelników przez nikczemny postępek względem córki jednego ze starostów rusińskich, autor mimo to wysuwa go na pierwszy plan przed Gniewoszem, rycerzem *sans peur et sans reproche*. W ogóle rycerstwo średniowieczne, jego wady i zalety, naiwność i wzniosłość przedstawione są bezstronnie, w wspaniałem oświetleniu poezyi. O. Chryzostom, mnich, as eta średniowieczny, jest tą samą mieszaniną wzniosłości i naiwności, czasem porywa wielkością zapałów, a czasem śmieszny, gdy np. częstuje swoich gości biczowaniem, jakoby przekąską smakowitą. Zakończenie tylko nie odpowiada całości, realizm tu ustępuje wybujałości fantazyi, gdy bohater zostaje zamieniony w skałę. Zalecam tę powieść Szanownym Czytelnikom „Domu“, jako bardzo zajmującą zabawę na wieczory zimowe.

A. M.

Kilka uwag

o starych pannach.

Jednym z grzechów społecznych jest niezawodnie wyszydzenie starych panien. Grzech ten popełnia się bez zastanowienia, nieoględnie, bez wiedzy — że się tak wyrażę — rozum i serca. Dzieci przejmują to od starszych, i w małych już dziewczynkach nieci się obawa przedwczesna i wstręt, by nie zostały staremi pannami. Zapewne, że do przeznaczenia kobiet należy być żoną i matką; ależ to nie jest jej wyłącznem przeznaczeniem. Winna być zarazem córką i siostrą. A winna być córką i siostrą i w najrozleglejszem znaczeniu tego wyrazu: córą wspólną matki naszej, siostrą tych wszystkich, którzy z nią na jednej zrodzili się ziemi; ogniwem potrzebnem, łączącym, silnem w wielkim łańcuchu społecznym. Niechaj sobie powtarza: „Jeżeli ci Bóg odmówił związków rodzinnych, jako żona i matka, to ich szukaj w wielkiem kole swego narodu.“ Cel taki każda matka dziewczynce swojej wcześniej wskazać powinna, bo nieświadome są wyroki Boże, bo niepodobna jest odgadnąć, czyli ona kiedykolwiek los swój przw ślubnym ołtarzu złoży w ręce wybranego małżonka. Niechaj matka dziewczkę raczej od dzieciństwa z tą oswoi myślą: że ją może w dziewiczej koronie do grobu poniosą — i aby myśla, że panną pozostanie, nic dla niej nie miała zatrważającego, niechaj raczej w każdej doli umie dodatnią i poetyczną pochwycić stronę. Królowa Elżbieta tem się chlubiła, że na jej grobowcu położą napis: Tu leży dziewicza królowa. A jakąż nieokreślenie urocą postacią jest nasza Wanda!

Niechaj matka wszczepi w córkę swoją to przekonanie, że w każdym położeniu, w każdym stanie, w każdym zakresie można być użyteczną i szanowaną, a i mieć udział w szczęściu, za którym każdemu gonić przynależy.

Silvio Pellico powiedział: „Małżeństwo jest świętością; ależ i celibat jest rzeczą świętą“ — a był to człowiek, który wiele przemyślał, przecierpiał i krwawo przebolewał, niosąc Bogu i ludziom miłość i poświęcenie.

Przejdźmy powody, dla których może stara panna za mąż nie poszła.

Jeżeli serce jej nie przemówiło dla żadnego ze stara-

jących się o nią, i nie chciała ręki oddać bez serca, zasługuje zapewne na nasz szczerzy szacunek. Jeżeli przez śmierć utraciła narzeczonego i wierną jego pozostała pamięci — nieśmy jej nietylko szacunek, ale i współczucie serdeczne. Jeżeli w swoim pierwszym uczuciu nieciernie zawiedziona i tem samym jej cała przyszłość zwiclinięta, zniszczoną została, winniśmy łzę jej smutnemu losowi. Jeżeli ją upośledziła natura, lub jakie dotknęło kalectwo, należy jej się od nas miłość siostrzana, bo Bóg dla niej na nas o to woła.

A ileż to dziewcząt pozostało pannami, za którymi i wdzięki i wszelkie mowy zalety rozumu i serca, charakter i wykształcenie. I dla czego? Dla prostej, niestety! — i najwycyżajniejszej przyczyny: bo nie miały ani wioski, ani listów zastawnych; nie miały posagu żadnego, żadnej sukcesji na widoku. Znałam dwie śliczne siostry, zaprawdę śliczne, bo je matka natura hojną obdarzyła ręką. Dom, w którym się zrodziły, obfitował we wszystkie dostatki i dziewczątka zostały na wyższą wychowane i wykształcone skale. Ale ojciec, niestety! odumarkł je wcześniej, majątek się zaszargał, matka była chorowita i także umarła, właśnie gdy jej córki dorosły. Dobra sprzedane, dla sierot żaden nie został się posag. Biedaczki po obcych bawiły domach, u rodziny dalszej, więc i wcześniej szkołę życia przechodziły. Łagodnego usposobienia i wychowania dobre, umiały zastosować się do wszystkiego, w czem je i prawdziwie wyższe wspierało i urwalało wykształcenie, nie blichtrowe, nie salonowe tylko. Bo kobieta z prawdziwym wykształceniem umie zastosować się do wszystkiego wszędzie i zawsze; znosić i łagodzić obce kaprysy i swary namiętne bez ubliżenia własnej godności; potrafi mozolnie pracować, gdy ją okoliczności do tego zniewolą, obok oddawania się zajęciom umysłowym, w których czerpie siły do wytrwania i otuchę w niedoli. Panią, o których wspomniałam, podobały się powszechnie. Młodzież wielbiła ich wdzięki, zalety i wykształcenie; szukano ich towarzystwa, dobroć i zyczliwość jednała im przyjaźni, a jednak... pozostały pannami — staremi pannami.

Może ktoś zawoła: „A panny, które przebierały w kawalerach, jak w ulegałkach?!“ Prawda, że na nich jakiś cięży zarzut! Ale... ta, która przebierała, nie pokochała — wniosek nader prosty, a skoro tej iskierki zbywało w jej sercu, to i lepiej, że żoną nie została.

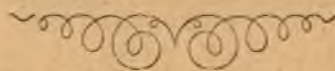
Dalej powiedzmy: Jeżeli panna pomyślała młodzianami, starającymi się o jej serce i rękę, przez zalotność, wina p o n i e k a d spada i na tych, którzy ją wychowali; — jeżeli nią powodowała oschłość serca, brak uczucia, natura była dla niej macochą, niestety! — jeżeli to czyniła przez wyrachowanie, upatrując stanowiska wyższego i szukając bogactw, a pozostała na koszu — to i pokutuje za grzech ten, a wszakżeż i w tym razie ci, którzy ją wychowali, nie pozostali bez winy.

Śmieszność wprawdzie otoczy starą pannę, jeżeli mimo lat podeszłych zachowuje młodości pozory: gdy stroi się w jasne suknie, w róże, siada w gronie młodych dziewcząt, za ledwie rozwitych i niby jeden z niemi tworzy wieniec; gdy skacze, słodkie robi oczy i t. p.

Są to zawsze wyjątki — a niechaj nas i taka nie śmiesz, raczej litosnem obejmijmy ją uczuciem. Ona pozostała przy matce, starszej siostrze, lub ciotce zawsze tą Zosią, Rózią, Kocią, którą była, mając lat piętnaście. Dzień jeden upływał jej za drugim; w jednym i tem samym przeglądała się zwierciadłem; jedne i te same zatrzymała zwyczaj i obyczaje, i zanim się spostrzegła, już 10—40—50 wiosen ubiegło: nie dojrzała zmarszczek na lieu; nie dojrzała, jak jej zgrubiały, lub przeciągnęły się rysy; jak pleć poźółkła i kształtna zmieniła się kibić. W domu jest ona zawsze jeszcze Zosią, Rózią, Kocią, i tylko ją obcy widzą, jaką jest rzeczywistą; dla obcych tylko róże w jej włosach posiwiałych, przy płci poźółkłej i pomarszczonej stają się śmiesznością. Ona tego wszystkiego nie widzi, nie spostrzega, nie zastanawia się

nad sobą i zawsze jeszcze jakąś przyszłą cieszy się nadzieją. Nie widzi tego i matka kochająca, bo zawsze jednakiej miłości okiem na nią spogląda: Nie śmiejęmy się przeto, lecz pobleżajmy!

Jeżeli matka od dzieciństwa właściwie poprowadzi dziewczynkę, to zapewne ustrzeże się tych śmieszności, gdy starą panną zostanie. Potrzeba, by umiała patrzeć na siebie, by umiała zastanowić się nad sobą, by umiała ze swoim pogodzić się losem, a tego wszystkiego nabędzie, gdy dobrze poprowadzoną zostanie. Niechaj jej matka wskaże powyżej wymienione śmieszności, którym nieraz stara panna podlega (zawsze tu mowa o wyjątkach), bez wyszydzenia ich wszelako, ażeby sama podobnych uniknęła, jeżeli jej przeznaczenie odmówi imienia żony.



TEATR.

W niedzielę, d. 18 b. m., przedstawiono na scenie naszej niegraną u nas od lat dziesięciu sztukę francuzkiego dramaturga, Ernesta Bluma, w udatnem tłumaczeniu Arkadyusza Kleczewskiego p. t. „Szpieg królewski,“ której treść w kilku słowach podajemy.

W r. 1523 najezdnicze wojska Duńczyków zajęły nietylko całą prawie Szwecyą, ale i Stockholm. Wszyscy prawie Szwedzi skupili się pod sztandarem narodowym, broniąc ojczyzny do upadłego; w samym Stockholmie nawet, zapełnionym najezdnikami, utworzył się spisek pod przewodnictwem hr. Riedeberga, mający na celu choćby podstępem wypędzić Duńczyków ze stolicy. W Jadwidze, córce hrabiego, kocha się z wzajemnością młody porucznik niskiego pochodzenia, nazwiskiem Tolben, ale arystokratycznych zasad i uprzedzeń ojciec młodej dziewczyny pod żadnym warunkiem na związek ten zezwolić nie chce. Rozrzuwającą jest scena, w której Jadwiga błaga Tolbena, ażeby poświęceniem i odwagą w boju dosłużył się szlachectwa. Tolben udaje się do stolicy, by poznać siły Duńczyków, a zarazem, aby odwiedzić ubóstwianą przez siebie matkę. W Stockholmie spotyka się z Rustenem t. z. „szpiegiem królewskim,“ również młodym Szwedem, pozostającym w służbie duńskiej, którego ocala od śmierci, zasłaniając go własną pierś przed rozwścieklonym tłumem. Rusten nie jest rzeczywistym szpiegiem; upośledzony od natury pod względem fizycznym, nie mogąc zatem walczyć w szeregach swych ziomków, wybrał sobie najniebezpieczniejszą broń pozorowego zdrajcy, a tymczasem na każdym kroku dopomagał sprawie narodowej. W ostatniej chwili, gdy spisek odkryto i wszyscy głowy swe na pień mają położyć, Marta Tolben, matka młodego porucznika, ocala wszystkich od nieuniknionej śmierci, za namową bowiem Rustena, wysadza bramy Stockholmu w powietrze, ułatwiając przez to wojskom sprzymierzonym wstęp do miasta. Czynem swym bohaterskim umozebnia ona związek syna swego z Jadwigą, sama zaś umiera w skutek ran otrzymanych.

P. Popławski z roli tytułowej „szpiega królewskiego,“ Rustena, wywiązał się znakomicie. Udawany podstęp, płaszczenie się i tchórzostwo, znamionujące każdego podłego człowieka, zwłaszcza zaś szpiega, uwydatnił artysta grą swoją świetnie, chwila zaś, w której się przyznaje do pobudek, jakie go skłoniły do wstąpienia w służbę duńską, ażeby rodakom swym dopomagać, wywołała liczne i przeciągłe oklaski widzów.

P. Jakubowski, jako młody porucznik Tolben, miał w swej grze chwile szczęśliwe, w ogóle jednak nużył widzów jednostajnością, brakiem zapału i przejęcia się rolą, w skutek czego wypadła scena, w której go posądzają o zdradę, błąd i niewyraźnic.

P. Królikowska w roli Marty Tolben starała się pod każdym względem zadowolić publiczność, oraz obudzić w sercach współczucie dla nieszczęśliwej matki. W żywych kolorach przedstawiła swą boleść nad utratą młodszego syna, rozpacz w walce między uczuciem matki, a powinnością obywatelki-patriotki, również mężstwo i odwagę w chwili wysadzenia bram w powietrze.

P. Morska dość szczęśliwie, bez rozbitcia się, przebrnęła szkopały trudnej, uczuciowej roli Jadwigi Riedeberg, wlewając w nią pewną dozę życia, otuchy i wiary w przyszłe szczęście, jak przystało na młode, zakochane dziewczę, które nawet w chwilach najkrytyczniejszych widzi wschodzącą różową jutrenkę lepszych dni i nie oddaje się czarnym myślom i rozpaczom.

W mniejszych rolach odznaczyli się przede wszystkim pp. Janowski, Skirmunt, Siedlecki; również p. Staszewski nie zawiodł tym razem oczekiwania widzów; mianowicie scena śmierci odtworzona została przezeń z całą pełnią naturalności.

Z równym zadowoleniem i przyjemnością uczestniczyliśmy na przedstawieniu wtorkowym, w dniu 20 bm., na którym odegrano znane już z dawnych czasów jednoaktówki: „Posażną jedynaczkę“ Fredry, „Łobzowian“ Anczyca, i „Przysięgę Horacego.“

W „Przysiędze Horacego“ należy się przede wszystkim pochwała grze p. Janowskiego. Sympatyczny ten i lubiany powszechnie artysta czuje się w francuzkich zwłaszcza, lekkich, jednoaktowych komediach w swoim, że się tak wyrazimy, żywiole, role te zdają się dla jego charakteru i zdolności artystycznych najodpowiedniejsze; p. J. łączy naturalność z lekkością, nie ma w grze jego przesady i pewni jesteśmy, że gdyby mu danem było kształcić się w jednym kierunku artystycznym, co zresztą na scenie naszej jest niemożliwym, dorosłoby może wkrótce Coquelin'a, którego grę niezrównaną mieliśmy sposobność podziwiać w Paryżu.

P. Janowska w roli Julii de Sentuis była imponującą; scenę zaś za parawanem odegrali oboje pp. Janowscy z prawdziwym artyzmem.

P. Popławski, jako Dubrenil był wymienionym; w głosie jego i ruchach uwydatniła się w miarę owa buta i energia, znamionujące dawnego handlarza niewolników i awanturnika, w jakich tak obfituje druga półkula.

Sympatyczna operetka: „Łobzowanie“, wypadła z maleni wyjątkami nadszpedzowanie udanie.

P. Czarniecki w roli Tomka, którego po raz pierwszy w partyi solowej mieliśmy sposobność słyszeć, wywiązał się ze swego zadania zupełnie zadawalająco. Głos jego wprawdzie nieco słaby donośniej niezawodnie brzmiałby w salonie, niż w teatrze, odznacza się przecież dźwięcznością i czyni na słuchaczach miłe wrażenie, co również i o p. Belinie, jako Zosi, powiedzieć możemy.

Przy tej sposobności zwracamy uwagę szanownej dyrekcji orkiestry, że do tak słabych głosów jak najmniej stosownym jest silny akompaniament, zagłuszający zupełnie partye solowe, jak się to stało z drugą częścią piosenki: „Śliczne gwoźdźki.“ Najgorzej wypadły chóry, słabe a krzykliwe, co niedostatecznego wyćwiczenia zdaje się być winą.

P. Trapszo, jako Protazy, czuł się w swoim żywiole; rolę swoją okraszył właściwym sobie dowcipem i komizmem, pobudzając słuchaczy do szczerych wybuchów wesołości i śmiechu.

We wtorek, d. 27 bm., zebrała się publiczność nadzwyczaj licznie na uroczyści, urządzonej w teatrze naszym ku czci nieśmiertelnego wieszczu Adama, staraniem niezmordowanego pod tym względem i zasłużonego towarzystwa „Stella.“ Przedstawienie rozpoczęło się prologiem poety i postą wielkopolskiego, p. J. Kosielskiego, którego — ponieważ dla zajęć poselskich nie mógł osobiście przybyć — zastąpił w wygłoszeniu z uczuciem i zrozumieniem p. Karol Potworowski.

Po wspaniałym „Polonczie“ odśpiewanym przez chór

mężki, wstąpił na mównicę p. dr. M. Kantecki i wygłosił swój, na głębokich studiach Mickiewicza oparty, gruntowny, wyczerpujący, a więc i wielce pouczający odczyt, na temat: „Sąd krytyków i recenzentów niemieckich o Mickiewiczu.“ Krytycznej ocenie prelegenta uległo przede wszystkim dzieło Nitschmanna: „Geschichte der polnischen Litteratur“, którego zalety, jako i błędy szau polnischen umięjetnie wykazał i uzasadnił.

P. Jahnke przeszliczną swą grą dowiódł, że ciągle jeszcze, chociaż artysta skończony, nad sobą pracuje, a „Fantazy“ Benot'a, „Réverie“ Vieuxtemps'a i „Obertas“ Wieniawskiego, zwłaszcza zaś wesoly „Kujawiak“ zelektryzowały publiczność. „Wędrowny Grajek“ Noskowskiego na chór mieszany nie był dość szczęśliwym wyborem, melodye jego bowiem monotonne, mało przemawiające do słuchu, a jak na amatorów — zbyt trudne.

Dwie piosnki: „Och! gdybym znał“ Kozłowa i „Niezapominajka“ Soupe'go, odśpiewane zostały przez p. Czarnieckiego z wdziękiem, zrozumieniem i uczuciem, sympatyczny zaś głos młodego artysty ogólnie się podobał. Dobrze również były: „Méditation“ Bacha i „Adagio“ Goltermana, w których młody amator okazał wiele biegłości i zdolności. Zaznaczyć nam również wypada rutynowany akompaniament p. B.

Uroczystość zakończyły dwa żywe obrazy pomysłu i układu p. W. Mottego: „Świtezianki“ i scena z „Pana Tadeusza“: „Muzyka Jankiela“, które wywołały żywe i huczne oklaski u publiczności.

Towarzystwu „Stella“, któremu cały ów wieczór, pamięci wieszca poświęcony, a duszą w lepsze, minione przenoszący nas czasy, zawdzięczamy — składamy z tego miejsca szczerze dzięki i rzeczywistego uznania wyrazy.

St.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaiteści.

Prof. dr. J. Rostafiński wydał w Krakowie drugą seryą „Szkieców ze świata przyrody.“ Są one owocem podróży uczonego profesora po Algeryi.

Dr. Pawła Gibiera ciekawe dzieło p. n. „Spirytyzm, studjum historyczno-krytyczne i doświadczalne“, przełożył na język polski J. W. Dawid.

Piotr Jaxa Bykowski ukończył swą nową powieść: „Kogut zapał.“

Opuścił właśnie prasę drugi tom przewodnika praktycznego dla nauczycielek p. t. „Ułatwienia dla uczących się“, również 10-ty zeszyt „Historii literatury polskiej“ M. Dubieckiego.

W Krakowie powstało nowe czasopismo p. t. „Kronika prawnicza“, poświęcona sprawom prawniczym. Wychodzi raz w miesiąc.

„**Małaszka**“ p. Śnieżko-Zapolskiej i „Placówka“ Bolesława Prusa zostały przetłumaczone na język angielski przez miss Ashurst Biggs.

Na wystawie sztuk pięknych w Krakowie szczególne zajęcie budzi nowy obraz p. Popiela, przedstawiający „Powrót Mojżesza z góry Sinai“.

J. Kossak i S. Tondos wykończyli „Album widoków Krakowa“, złożone z 20 kartonów, reprodukowanych, jako oleodruki. Oryginalne kartony mają być wystawione w warszawskim salonie Krywulta.

P. Stanisław Niedzielski, założyciel opery polskiej we Lwowie, ostatni dyrektor krakowskiego „Towarzystwa muzycznego“, osiedla się stale w Warszawie, jako nauczyciel śpiewu.

Józef Joachim, słynny i znany w świecie muzycznym skrzypek, liczący obecnie 57 lat wieku, wystąpił po raz pierwszy w Peszcie, jako siedmioletni artysta; na początku zatem przyszłego roku będzie obchodził 50-letni jubileusz swego artystycznego zawodu.

„**Tygodnik ilustrowany**“ donosi, że na cmentarzu warszawskim, „Powązki“, stanie wkrótce pomnik na grobie artysty dramatycznego, **Jana Królikowskiego**, dłuta p. **Bolesława Syrewicza**. „Postać znakomitego tragika — pisze korespondent — wykuta w marmurze, przemawiać będzie z jego mogiły do potomnych: „Żyję w waszej pamięci i w tradycji sceny polskiej.“ Będzie to pierwszy pomnik, wystawiony u nas artyście dramatycznemu; prawda, że wielu godniejszych od niego w dziejach teatru niełatwo nalicyzyć. Dzisiaj działo Melpomeny dba więcej o chwilowy rozgłos, aniżeli o pośmiertną sławę i uznanie; nierychło też nadarzy się sposobność stawiania nowych pomników artystom nowego pokolenia. Artystów w wielkim stylu brak na naszych scenach, ale i sztuka w wielkim stylu upadła, zastąpiły ją — sztuczki.“

Prof. dr. Wincenty Tassinari z Pizy doszedł po wielu studyach, badaniach i doświadczeniach do wniosku, że dym z mocnych cygar niszczy bakterye tyfusu i cholery, ze słabych zaś opóźnia chorobę o 75—100 godzin.

P. Grubiński, Warszawianin, wynalazł karabin, dający — przy użyciu magazynu o 12 ładunkach — 24 strzały na minutę; a bez magazynu 25 strzałów w przeciągu półtory minuty. Próbę karabina odbyto na polu mokotowskim. Wynalazca ma zamiar z wyrobionych dotąd czterech tylko sztuk swego karabina posłać jedną do Petersburga.

Podług ostatnich obliczeń, znajduje się obecnie w Paryżu muzyków, śpiewaków, malarzy, rysowników i rzeźbiarzy 42,646 — w tej liczbie samych kobiet-artystek 20,000.

Inseraty za opłatą zaczęły umieszczać najprzód gazeta francuska, „Gazette nationale“ w r. 1789. Opłata wynosiła 3 liwry za 10 linii. Obecnie inseraty stanowią u większej części pism politycznych główne źródło dochodu. Właściciel „Timesa“ przeznaczył za posag swej córce codzienny dochód z jednego łamu ogłoszeń. Okazało się, że to był posag książęcy.

Niektóre wydawnictwa

JÓZEFA CHOCISZEWSKIEGO W POZNANIU

przy W. Garbarach Nr. 6, II piętro.

Mała Historia Polska. Wydanie IV, ozdobione 25 obrazkami. 30 fen., z oprawą 40 fen. W większych ilościach cena niżona.

Dzieje Narodu Polskiego dla ludu i młodzieży. Wydanie VI, ozdobione 72 rycinami. 80 fen., z oprawą 1 m. 10 fn.

Kilka uwag o oszczędności. Napisał Józef Chociszewski 40 fen. Jest to dotąd jedyna obszerniejsza rozprawa samodzielna w języku polskim o oszczędności.

Podręcznik do pisania listów, w którym wyłożona jasno i treściwie nauka o pisaniu listów, oraz podane liczne wzory tychże, jako też kwity, rewersy, rachunki, przepisy pocztowe, wpisy do imienników itd., z dodatkiem listownika dla dzieci 1 m., z oprawą 1 m. 25 fen.

Bojomir, czyli zaprowadzenie chrześcijaństwa w Łużyczach. Powieść dla ludu polskiego i doroślejszej młodzieży. Z dodaniem krótkiej wiadomości o Serbach-Łużyczanach. 60 fen.

Józef, młody jeniec tatarski. Powieść dla dzieci 25 fen., z oprawą 40 fen.

Pociecha dla dzieci. Elementarz polski, zawierający naukę czytania i pisania, pacierz, opowiadania z historii św. i z dziejów Polski, wierszyki, powiastki itd. Z 40 obrazkami 20 fen., z oprawą 30 fen.

Obrazki są piękne i dobrze odbite, w tym też względzie przewyższa „Pociecha“ wszystkie inne polskie elementarze.

Piast. Kalendarz Polski ludowy na r. 1889. Rok XII. Z 18 obrazkami 50 fen., z oprawą 70 fen.

Oto niektóre artykuły: Abecadnik z dziejów Polski. Ułożył Wł. Bełza. Królowie Polscy do nauczania się na pamięć. Sobieski, Kościuszko, Poniatowski. Kopernik, Staszyc, Marcinkowski. Henryk Dąbrowski. Jan Kruska, jako wzór i przykład dla włościańskich gospodarzy. Edmund Taczanowski. Adolf Malczewski. Wino owocowe itd.

Mały Elementarzyk dla dzieci polskich. Z 30 obrazkami 6 fen., z przesyłką 10 fen.

Wesoły Drużba. Kalendarz humorystyczny na r. 1889. 25 fen.

Na przesyłkę franko dopłaca się 10 fen. Kto kupi wszystkie powyższe dziełka, płaci zamiast 5 m. 35 fen. (z przesyłką franko.) tylko 3 m. 50 fen., za co franko. Zamawiać pod adresem.

Józef Chociszewski, Poznań.

Promyki.

Pierwszym każdego człowieka obowiązkiem jest praca. Staszyc.

Odwaga i praca łamie największe trudności. Staszyc.

Kto ojczyźnie swej służy, sobie służy, bo w niej wszystko dobro jego się zamyka. Skarga.

Naród jest ręką Bożych utworom, a żadna przemoc zagładę jego dokonać nie zdoła. Andrzej Niegolewski.

Smutni i chorzy! wy zamiast cieszyć się i leczyć, Wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.

Adam Mickiewicz.

Bóg szczęście daje, a szatan przyrzeka. Deotyma.

Kto z nadzieją się rozstanie, Sam swój czyściec w piekło zmieni. Deotyma.

Im co wyżej wzniesie się nad poziom, tem chętniej starają się podli obrzucić to błotem.

LISTKI.

Pp. W. M. i K. S. Powtarzamy i dzisiaj, cośmy już z tego miejsca wielokrotnie głosili, że z adnych a nromimów, tak prozą, jak wierszem, choćby nawet mistrzowskim, nie uwzględniamy. Każda redakcyja słusznie chce znać swych współpracowników, i my pragniemy poznać osoby, które w Dom nasz wstępują.

TREŚĆ: Los ulitował się nad nią. Nowelka z pism pośmiertnych Pauliny z L. Wilkońskiej. (Dokończenie.) Śnieg na kwiatach p. H. Grabowską. Tłomaczyła Zofia A. — Piosnka. (Z Wiktora Hugo tłum. Karol Brzozowski) — Z Uhlanda. (Tłom. K. Brzozowski.) Korespondencya „Domu polskiego“: Zpoza kordonu. A. M. — Kilka uwag o starych pannach. P. — Teatr. — Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaiteści. — Niektóre wydawnictwa J. Ch. — Promyki. — Listki.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.